

Tomasz Sulewski: Tabory, indendentura, kwaterymistrzostwo

Nie mamy centrum, wielkiego namiotu pośrodku



Nie mamy centrum, wielkiego namiotu pośrodku

Każdy chłopak, zaczytany w powieściach awanturniczo-przygodowych, chce być wodzem - zmieniać świat, ratować piękne księżniczki, prowadzić za sobą armię, bijąc się w pierwszym szeregu. Podobnie jest na podwórkowym boisku, gdzie za piłką biega z reguły dziesięciu napastników, z których każdy chce strzelać gole, na bramce zaś stawia się ciamajdę, który ma przede wszystkim nie przeszkadzać. Ponieważ w bohaterskich pieśniach rzadko kiedy opiewa się czyny kwatermistrzów i logistyków, nie nosimy w sobie zbyt szacunku do tych postaci - wiadomo, "z tyłu za linią dekowniki, intendentura, różne umrzyki", itd. Traktujemy więc działalność "zaplecza" jako konieczność realną, ale nieatrakcyjną. Historia sławi tych, którzy barykad bronią, a nie tych, którzy je wznoszą, a my chcemy wszak, żeby nas sławiono. Czy ktoś pamięta jak się nazywał zarządca skarbcza Karola Wielkiego, albo kto

gotował zupę Leonidasowi? Jednak pewnego dnia chłopak dorasta i zdaje sobie sprawę, że pieśni kłamały. Bohaterowie są ważni, ale niewiele działają bez taborów, konwojów i lazaretów.

W dyskusji wokół tekstu Agnieszki Rybak głos zabrało już wielu moich kolegów - nie ma potrzeby powtarzać ich argumentów. W różnorodności stanowisk istnieje zgoda co do jednego: naszą heterogeniczność uważamy za atut, nie obciążenie. Nie czujemy potrzeby łączenia się w jedną kolumnę, "młot na lewaków" - za bardzo cenimy sobie odmiennosc naszych poglądów (choć, co ważne, zamykającą się w obszarze wspólnych wartości). Ta wielobarwność jest zresztą korzystna nie tylko dla nas samych, ale i dla społeczeństwa - pozwala, na co słusznie zwrócił uwagę Paweł Rojek, na głębszą analizę ekspercką, na obejrzenie problemu pod różnymi kątami naświetlenia, co bez wątplenia owocuje szerszymi wnioskami. Spotykając się na różnego typu debatach czujemy siłę tej zbiorowości. Mamy potencjał, by zmienić świat.

Skoro jednak jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Sądzę, że spośród wszystkich dyskutantów najlepiej ten problem nazwała Marta Kwaśniewska: wszyscy chcą "robić w ideach". Każdy z nas, gdy czuje w sobie ducha, wskakuje na konia, unosi miecz i harcuje, potykając się z przeciwnikami w charakterystycznym dla własnego środowiska stylu. Często kończy się to zresztą sukcesami w bezpośrednim starciu.

Problem w tym, że chcąc realnie oddziaływać na rzeczywistość (a przecież tak naprawdę o to nam ostatecznie chodzi, nawet jeśli inaczej definiujemy środki tego oddziaływania - nie udawajmy, że piszemy nasze teksty wyłącznie z zachwyty nad "czystą formą") nie możemy się skupiać na drobnych bojach, ale powinniśmy patrzeć strategicznie. Doświadczenie uczy, że każdy harcownik, także ten ideowy, prędzej czy później się męczy. Powinien wtedy móc znaleźć miejsce, w którym znajdzie chwilę spokoju, ale i wsparcie.

Środowiska konserwatywne przypominają dziś mocno obóz armii złożony, z wielu samodzielnych podobozów. Nie jest to co prawda grupa wewnętrznie wroga - spotykamy się przecież, lubimy, przyjaźnimy, zgadzamy w wielu kluczowych sprawach - ale też niezbyt skoordynowana. Nie mamy centrum, wielkiego namiotu pośrodku, w którym moglibyśmy ustalić (w toku dyskusji, nie arbitralnych decyzji tego, czy innego księcia), jak będziemy walczyć. I nie chodzi o jakąkolwiek agorę, bo ta się w razie potrzeby doraźnie znajduje, choćby i w sieci. Chodzi o fizyczną przestrzeń - konkretne miejsce, gdzie moglibyśmy poczuć się "u siebie". Powiesić na ścianach swoje plakaty, pomalować ściany w kolory, które lubimy i nie bać się, że o 22.00 nas wyrzucą, bo już zamykają. Terytorium, gdzie moglibyśmy zaprosić innych, także tych nie znających nas dziennikarzy i powiedzieć im: "Hej, wpadnijcie, zobaczcie jak u nas może być miło. To może być też wasze miejsce". Do tego dochodzi kolejna kwestia - każdy z podobozów ma przecież własną kuchnię, własną aprowizację, własnych stajennych. Z perspektywy środowiska to oczywiście wygodne i racjonalne - dbamy wszak o zaspokojenie swoich potrzeb. Dzięki temu możemy finansować nasze pisma, realizować swoje projekty i

prowadzić nasze portale. Jednak strategicznie to bezsens, który powoduje podrażanie kosztów utrzymania, konieczność wiązania "własnych" ludzi kwestiami organizacyjnymi, drenowanie tych samych kanałów finansowania i zdecydowanie mniejsze możliwości operacyjne.

Czy da się tę sytuację odwrócić? Owszem - instrukcję podał nam nam tacy nieco ponad dwa lata temu Sławomir Sierakowski, udzielając wywiadu Piotrowi Zarembie. Wtedy chyba niezbyt się nim przejęliśmy, dziś jednak warto do niego wrócić i przeczytać ten tekst z ołówkiem w ręku, robiąc sobie szczegółowe notatki. Wielobarwność ideowa nie musi koniecznie iść w parze z autarkią organizacyjną. Streszczając - potrzebujemy działań w dwóch obszarach.

Po pierwsze - stworzenie ośrodka wzajemnej koordynacji i organizacji. Ma rację Piotr Pałka krytykując tych wszystkich, którzy chcieliby przejść obok doświadczeń Krytyki Politycznej z wyrazem moralnej wyższości na obliczu. Siła tego środowiska została zbudowana na zrozumieniu faktu, iż każda armia - także ta złożona z wielu samodzielnych jednostek - potrzebuje zaplecza. Dziś tak to właśnie funkcjonuje, bo wbrew pozorom (a może właśnie zgodnie z intencją Sierakowskiego) Nowy Wspaniały Świat to nie tylko KP. Pod jej sztandarem grupują się rozmaite środowiska lewicowe, korzystając z "gościnności", a całość działa jako doskonała symbioza. Małe

organizacje mają swój "inkubator" i przestrzeń do autoprezentacji. Krytyka Polityczna ma masę inicjatyw, które może ułożyć w piękny kalendarz i przestawić potencjalnym grantodawcom jako spójny, atrakcyjny i wielobarwny program działań. Grantodawca ma poczucie, że daje pieniądze na coś rzeczywiście zajmującego. Pozyskane od niego środki służą nie tylko do realizacji projektów, ale także pozwalają finansować "kwatermistrzostwo" - prawników, którzy mogą reprezentować w sądzie każdą z najmniejszych nawet organizacji ("lazaret"), fundraiserów pozyskujących nowe środki - dla wszystkich organizacji ("aprowizacja"), wydawnictwa i inne projekty generujące własny przychód ("logistyka"), księgowych, doradców i kogo tam jeszcze będzie trzeba. Ludzie "z ulicy" mają ciekawe miejsce, do którego warto pójść - a artyści, publicyści, itd. centrum, gdzie znajdą odbiorców. Kula się toczy, a z mijającymi miesiącami nabiera masy. I choć bez wątplenia pomoc płynąca z zagranicznych funduszy ma tu niebagatelne znaczenie, nie wierzę, że konserwatystów nie stać na zaplanowanie i zrealizowanie projektu o podobnym profilu. Hub internetowy, proponowany przez Łukasza Warzechę to zbyt mało, a stół, o którym pisał Mateusz Matyszkowicz to tylko pierwszy krok na tej drodze. Potrzebujemy ścian, sufitu i podłogi. Szerokiej podłogi, aby pomieściła nas wszystkich.

Druga kwestia to rozmowa. Może zbyt często do tej pory dyskutowaliśmy, a zbyt rzadko rozmawialiśmy? Może powinniśmy w końcu powiedzieć sobie na czym nam wspólnie zależy i jak chcemy to osiągać, kwestie zawarte w protokole rozbieżności odkładając na spokojniejszy czas lub inną przestrzeń? Fakt, że wymaga to od nas wszystkich pewnej pokory oraz zrozumienia, że na boisku nie wszyscy

mogą być napastnikami w tym samym czasie - szczególnie, gdy przeciwnik jest na naszej połowie. Ale może w roku Euro nam się to powiedzie?

Gdy zaś już ustalimy sobie, na czym nam zależy, jak możemy sobie przygotować do tego zaplecze i jak zorganizować koordynację, wsparcie i ubezpieczenie, możemy wyruszyć do walki. A wtedy niech każdy walczy tak, jak lubi i umie. Bez jednoczenia na siłę i bez dyktatur. Ostatecznie armia, która umie działać na wielu różnych polach, jest nie tylko bardziej barwna, ale też skuteczniejsza.

Tomasz Sulewski

Paweł Rojek: Lisy czy jeże?

Mateusz Matyszkowicz: Wystarczy się trochę polubić

Marta Kwaśnicka: Kulturę oddaliśmy sami

Łukasz Warzecha: Stwórzmy konserwatywny hub

Przemysław Piętak: Długi marsz konserwatystów

Piotr Pałka: Zbyt dobry humor Napoleonów

